

Mityczna Patagonia

Dociekliwy, zachłanny świata reporter trafił na jego kraniec, do „punktu docelowego” dla elity globtroterów.

JACEK PAŁKIEWICZ

Głośny argentyński pisarz Jorge Luis Borges stwierdził kiedyś: „Niczego w Patagonii nie znajdziesz. Tam nie ma nic”. Dużo wcześniej twórca teorii ewolucji Charles Darwin zauważył z kolei, że „równiny uważane są przez wszystkich za ponure, mizerne i niepotrzebne”. Południowy kraniec amerykańskiego kon-

Termin Patagonia, podobnie jak Mandalay czy Timbaktu, zakorzenił się w naszej fantazji jako synonim ekstremalnego zasięgu, punktu.

tynentu, oprócz epepei pierwszych odkrywców, łowców wielorybów, hodowców zwierząt, marynarzy, mallowniczych awanturników, ma jeszcze trudne do sprecyzowania „coś”. W latach 70. Bruce Chatwin, klasyk prozy podróżniczej, postanowił rzucić

wszystko i zacząć życie od nowa. Obwieścił o tym swojej redakcji – *Sunday Times Magazine* w lakonicznym telegramie: „Wyjechałem do Patagonii”. Niektórzy uważają, że kraina ta została odkryta dla świata właśnie przez niego, a to za sprawą książki *W Patagonii*; stworzył w niej monument regionu, w którym cywilizacja technologiczna i globalizacja nie odcisnęły jeszcze swojego piętna.

Mit Patagonii i legendy związanej z jej niepodzielnym królującym mało łaskawym klimatem, nieoswojonymi połaciami, ze złowieszczym przyładkiem Horn, który od wielu pokoleń przyciąga żeglarzy swoją ukrytą magią, przykuł także moją uwagę. Pamiętam, że Herman Melville w powieści *Moby Dick* użył przymiotnika „patagoński”; oznaczało to coś niezwykle osobliwego i niebezpiecznie wabiącego. Pewnego dnia zmierzyłem się z tym *fin del mundo*, zachwycającą, a jednocześnie niepokojącą metaforą absolutnej mety na końcu świata, „punktu docelowego” dla wielu globtroterów.

Co ciekawe, ta dźwięczna nazwa znana jest wszystkim, chociaż jej definicja umyka naszej uwadze. Patagonia nie jest bowiem regionem administracyjnym, nie ma oficjalnych linii demarkacyjnych. Przyjmuje się,

że sięga od Rio Negro po Ziemię Ognistą, a Kordyliera Andyjska, stanowiąca naturalną granicę pomiędzy Chile i Argentyną, rozdziela tę krainę na dwie odrębne strefy. Jej powierzchnia jest trzykrotnie większa od Polski, a jak słabo jest zaludniona, świadczy fakt, że na 1 km² przypada niespełna dwójka ludzi.

Bezskutecznie próbowałem zidentyfikować jej oblicze. Nie ma jednej Patagonii, jest tylko kolaż budzących niekłamaną zachwyty, następujących kolejno po sobie osobliwości. W moleskine, wiernym towarzysz peregrynacji, zapisałem: „Posępne pejzaże o przeważającym odcieniu brązu i popielatości, rzadko rozrzucone osady, owcze fermy, Ruta 40, tj. 5 tysięcy kilometrów szutrowej drogi, upstrzonej gdzieś tam łąkami asfaltu, królestwo gauchos – pasterzy bydła, bezwzględna w swojej okazałości pierwotna przyroda i jedno wielkie nic”. W Ameryce Łacińskiej wyróżniają się Machu Picchu, pustynia Atacama, linie Nazca, wodospad Iguazu, jezioro Titicaca. W Patagonii, z wyjątkiem Hornu i lodowca Perito Moreno, nie ma wizytówki, która zapewniałaby szczególne utożsamienie. Tu bardziej liczy się mieszanka subiektywnych i sugestywnych odczuć.

Kiedy w drugiej połowie XIX wieku w regionie zapomnianym przez administrację rządową osiedlali się przybysze z Europy, traktowali tę ziemię jako niczyją. W rzeczywistości żyły tu różne plemiona indiańskie, potomkowie ludów, które 30 tys. lat temu przywędrowały z Syberii do Ameryki Północnej, a ponad 13 tys. lat temu zasiedliły Patagonię. Rdzenni mieszkańcy tych obszarów – Araukanie, Ona, Yaghan, Haush, Alacaluf przez wieki dzielnie bronili swego terytorium, oparli się Inkom i hiszpańskim konkwistadorom. Osadnicy, którzy odkryli, że stopy Patagonii nadają się do hodowli owiec, nie okazali się zbyt przyjaźni i z czasem, rzekomo



Patagonia – absolutna meta na końcu świata



Zdjęcia: archiwum autora

Wyjazd do Patagonii autor zalicza do ekskluzywnych, sześciogwiazdkowych podróży

w obronie swoich trzód, całkowicie wytrzebili lokalnych mieszkańców.

Odwiedzam hacjendę Aquilino i Muñoz Olivares – otoczoną zwartym szpalerem topól włoskich, sadzonych wokół domostwa dla ochrony przed wiatrem – którzy gospodarzą tutaj od trzech pokoleń. Pradziadkom nie było lekko, dawały im się we znaki rozpaczliwe bezludzie, prymitywne warunki i nieurodzajność suchej gleby. Naturalna selekcja eliminowała desperowanych, mniej zaradnych. Oni też niejednokrotnie przeklinali ten świat i go nienawidzili, ale całkowicie się do niego przystosowali i pozostali mu wierni, by kultywować zanikające tradycje swoich przodków. Najbliżsi sąsiedzi mieszkają 40 km stąd, a między nimi są tylko szpeciniaste trawy, cierniste krzewy i małe stada żyjących w stanie wolnym eleganckich guanako, mniej szlachetnych kuzynów lamy. W Argentynie takie farmy hodowlane nazywają *estancias*; małe liczą od 20 do 30 tys. owiec, a każda

z nich potrzebuje dla siebie 2 ha terenu. Ale duże, tak jak farma należąca do rodziny Benetton, rozciągają się na powierzchni 250 tys. ha. „Kiedyś owce stanowiły majątek” – opowiada Aquilino. „Europa potrzebowała wełny, a tu było idealne miejsce do jej produkcji. Dziś nie przynoszą dużego dochodu, chociaż można wyżyć”. I tak, zima za zimą, opierając się zawodzącym wiatrom, Olivares i wielu im podobnych wzyli się tutaj. „Nikt z nas nie ma powołania pustelnika i nie zamyka drzwi przed współczesnością” – uzupełnia gospodarz. „Posiadamy radiostację, bo jest niezbędna, i używamy internetu oraz telefonu komórkowego. Nie szukamy wsparcia rządowego, chcemy tylko, aby nikt nie zagroził ziemi, która jest naszym największym skarbem”.

Jak większość właścicieli *estancias* oni także zaokrąglają swoje dochody, otwierając drzwi dla rosnącej liczby amatorów czynnej i egzotycznej turystyki. Goście

znajdują tu udekorowane ze smakiem sypialnie, wspaniałe pokój stołowy z kominkiem, a przede wszystkim niesfałszowaną atmosferę. Spędzam dwie pełne wrażeń doby, dostosowując się do rytmu tutejszego dnia. Przepędzam z gauchos bydło po pampie, towarzyszę przy strzyżeniu owiec i wypalaniu na zwierzętach znaków właściciela, uczestniczę w polowaniu na pumę, która poprzedniej nocy wyrządziła szkody wśród trzody. Emocje wywołuje nocleg pod gołym niebem, przy ognisku, które pozwala się ogrzać przed przeszywającym chłodem nocy. Nieodłączne jest *asado*, czyli grill po argentyńsku. Rozcięte wzdłuż brzucha jagnię pieczemy przez kilka godzin na ruszcie, wypełniając czas oczekiwania sączeniem ciemnego, gęstego malbeca.

Wyjazd do Patagonii zaliczam do sześciogwiazdkowych podróży. Przedwcześnie zmarły Bruce Chatwin uważał, że termin Patagonia, podobnie jak Mandalay czy Timbuktu, →



Ushuaia, leżąca na Ziemi Ognistej, jest najbardziej wysuniętym na południe miastem świata

→ zakorzenił się w naszej fantazji jako synonim ekstremalnego zasięgu, punktu. Chilijski pisarz Francisco Coloane napisał z kolei: „Kto raz przemierzył bezkresną pampę, nieprędko uwolni się spod jej uroku”. Pełna emocji podróż na *finis terrae*, w sensie odległości od wszelkich centrów cywilizacyjnych, pozostawiła ślad także w mojej duszy i nostalgia nie do końca wyrazistych, trudnych do ustalenia obrazów wciąż daje o sobie znać. **i**

JACEK PAŁKIEWICZ



Zdjęcia: archiwum autora



🌐 palkiewicz.com

Jacek Pałkiewicz

Wydawnictwo: Świat Książki

Liczba stron: 406

Oprawa: miękka

Cena: 49,90 zł

Zamówienia: tel. 34 365 19 17

w godz. 7-15

kolportaz@niedziela.pl

W 50-letniej, wielobarwnej podróży życia Pałkiewicza nie mogło zabraknąć bezkresnej patagońskiej pampy